



11

Teodor Jeske-Choiński

Rycerz - bandyta

OPOWIADANIE Z XV-go WIEKU

Nakład Księgarni św. Wojciecha
Poznań Warszawa.

[1920]

<http://rcin.org.pl>



I-20.871

Czcionkami Drukarni św. Wojciecha.

<http://rcin.org.pl>

I.

Pan Jaroszek Garca, dziedzic lasów ślesińskich, po śmierci ojca wałęsał się kilkanaście lat po Niemczech. Bywał w zamkach rycerzów niemieckich, brał udział w turniejach, bitwach i rozpustach. Na obcej ziemi nauczył się sztuki wojennej i lekceważenia cudzego mienia. Rycerze niemieccy przestali już w czternastym i piętnastym stuleciu być prawdziwymi rycerzami. Zamiast służyć swoim cesarzom, królom, księżętom i opiekować się poddanymi, służyli głównie tylko swoim kabzom, kleszeniom. Nazywano ich »Raubritterami« czyli rabusiami.

Rabusiami, bandytami, było ich w istocie dużo. Biada kupcowi który wiozł do swojego miasta towary. Na towary czuwał »Raubritter«, łapał je, a właścicielowi,

który się bronił, łamał kości, albo odbierał życie.

Takim »rycerzem« wrócił Garca do domu po przeszło dziesięciu latach, prowadząc z sobą bandę łotrów, wyszkolonych do rabunku i mordu. Jego warowny gródek wznosił się w lesie ślesieńskim na wysepce, otoczony zewsząd wodą. Nie zdobyły go wieże kamienne, nie broniły go potężne mury.

Jak zwierz drapieżny, unikający światła dziennego, tak krył się gródek zbójceki przed okiem ludzkim. Nie było go widać ani z jeziora, ani z wieży ślesieńskiej. Trzeba było stanąć tuż przed jego bramą, aby go spostrzec.

Zdaleka omijali ludzie miejscowi »wyspę zbójceką«. Bo stu drabów, uzbrojonych we włócznię, młoty, topory i duże miecze niemieckie, myszkowało dniem i nocą po lasach ślesieńskich, mikorskich, wąsoskich i licheńskich i rabowało wszystko, co się tylko dało.

Podróżnym zabierał Garca wozy, konie i pieniądze, a kupcom towary. Zył ze swoją bandą cudzym kosztem bez troski jak zwierz leśny, na którego wszyscy pracują.

Zabawiwszy się w ten zbójcecki sposób, zaczął się nudzić. Przywykł na obcej ziemi do wesółych zebrań, hulanek i ładnych kobiet, tu, w domu swoim, uczuł się samotnym. Trzeba się ożenić — myślał — abym nie był tu sam jak jaki dziwak.

Klasnął w dłonie. Gdy na znak ten wbległ do jego komnaty pacholek, rozkazał:

— Starego Janusza mi zawołaj!

Stary Janusz, stary sługa, który pamiętał jeszcze jego dziadka, przyczłapał Sędziwe lata zgłęły w pałak jego postać nlegdyś olbrzymią, przygasiły wzrok daw niej orli, stępiły słuch, wysuszyły jego kości. Krwłą zaszłem okiem spojrział na młodego pana, ruszając ciągle ustami, jakby coś żuł.

Garca podsunął mu krzesło.

— Nie twoim wysłużonym nogom stać przed młodym paniczem — rzekł.

Staruszek uśmiechnął się wdzięcznie i mówił:

— He, he, he, jaki panicz podobniusięńki do pana Bolesława. Ho, ho, były to czasy, były czasy! Wilczyisko brało się za gardło niby szczenię, jelenia za rogł, żubra za brodzisko. Cała knieja huczała, kiedy pana Bolesława pleski grały. A na polu, na tem krwawem, z onymi djabłami krzyżackimi bywał taki łopot jako w kuźni. Miecz o miecz, tarcz o tarcz, ino iskry pryskały i Niemczysko buch z konia o ziemię, niczem ścięta kłoda.

Zaśmiał się starowina zcicha do wspomnień dalekiej młodości.

Odpoczywał sobie od lat dwudziestu na chlebie łaskawym. Z dziadkiem Garcy chodził pod Płowce i na Prusy, ojca jego wprawiał do konia i oszczepu, Jaroszka kołysał. Nie wiedział nawet, ile lat przeżył na świecie. Tyle tego było... Ktoby tam zliczył...

— Słuchaj-no stary — odezwał się Garca.

— He? — mruknął Janusz, przykładając rękę do ucha.

— Ty znasz dobrze całą naszą okolicę — mówli Garca głośniej.

— Wilczycę?

— Okolicę! — krzyknął Garca w samo ucho starowiny.

— Aha, niby nasze sioła i gródki okoliczne? Jakżebym nie miał znać? Tyle lat deptało się tę świętą ziemię...

— Czy nie wiesz, gdzieby tu była w pobliżu jaka grzeczna, godna panna, w sam raz pani — żona twojego Jaroszka?

— He? Jaroszka?

— Dla Jaroszka! — śmiał się głośno panicz.

— Aha, niby dla panicza. Utrapienie z temi mojemi uszyskami, wszystko przekręcają. Panna, hm? Gładka, grzeczna, godna? A którażby taka chciała takiego urwłółcia, jako mój Jaroszek? Oj, oj,

paniczu, usatkuj się, uszanuj uczciwą pamięć pana dziadka i pana ojca. Nie rycerską ani chrześcijańską, katolicką idziesz drogą. Niemcy cię zgorszyły...

Płomień gniewu oblał twarz Garcy. Podniósł zwłniętą pleść na starca, opuścił ją jednak. Ta ruina ludzka była jego piastunem, jego niańką, gdy go matka odumarała. Niech sobie staruch zrędzi...

— Pomyśl tylko, Januszk, może znajdziesz dla swojego Jaroszka jaką ładną i dobrą żoneczkę — rzekł Garca.

Stary medytował, żując bezzębnymi ustami.

— Ano, hm, no, tak, byłaby o miedzę w sam raz zacna gospodyni dla naszego gródka, ale gdzieby tam chciała? To pani pobożna, świętobliwa i ładna jako łania. Patrzy się jej prawdziwy, szanowany rycerz.

— O miedzę, mówisz? któż to taki?

— A któżby inny, jeżeli nie panna Klara na zamku mikorskim?

— Dziedziczka Mikorzyna, ta, co sledzi na jeziorze, na wyspie jak czapla?

— Jako boginka naszego jeziora. A juści, to ona... Książątko by się na nią zlakomło. Krzepka w garści jako najtęższy rycerz. Klej zamaluje pachola w gębę, to chłopisko bęc o ziemię i ani piśnle. Z oszczepem, łukiem i toporem chodził do lasu na dziki i wilki. Nawet kudłate niedźwiedzisko nie jest jej straszne.

Garca mlasnął językiem.

— W sam raz dla mnie taka żona — rzekł. — Muszę się jej dobrze przypatrzeć, bo ty, staruszk, nie znasz się na kobletach.

II.

Na jeziorze mikorskiem rozsiadła się samotna wyspa, podobna zdaleka do olbrzymiego ptaka wodnego z rozpostartemi skrzydłami. Olchy, wieńczące brzegi, przegłądały się w słej wodzie, rzucając na nie długie, czarne cienie.

Codziennie z wieży kaplicy zamkowej, czerwieniejącej się na tle zielonych wierz-

chołków olch, rano i wieczorem wylewały się młękkie dźwięki dzwonów i szły po jeziorze aż do Slesina i Lichenia, iż здавало się, że cała okolica gra. Rybki przystawały w wodzie i słuchały, rybacy zdejmowali z głowy baranie czapki, mówiąc: Pani Klara się modli...

Od czasu do czasu odrywały się od brzegu wyspy łodzie, szły ku lądowi i wkrótce potem rozbrzmiewał las wesołym naszczekiwaniem ogarów. Wówczas mówili rybacy: Pani Klara poluje...

* * *

Na skraju wyspy od strony Slesina stała jednego dnia wysoka postać niewieścica, odziana w szarą suknię i w czarny jedwabny kabat, podobny gronostajem. Płwne oczy świeciły na jej białej twarzy, bogate kasztanowate włosy oplotły ramą puszystą jej okrągłą głowę Wielkopolanki. Była urodziwa. Usta tylko wąskie, zwarte i broda energiczna ujmowały jej wdzięku niewieściego.

Tą wysoką postacią niewleścią była Klara Mikorska.

Obok niej stał krępy, barczysty mężczyzna w baraním kubraku, przepasany rzemieniem, z poza którego wyglądał ostry topór. Był to burgrabia jej zamku, nazywał się Wojsławem.

— Skarżył mi się wczoraj jeden z kupców kaliskich na pana Garcę — mówiła — opowiadał mi, że pan Garca napadł go i zrabował mu mnóstwo towarów. Prawdąż to, Wojsławie?

— Kupiec nie kłamał, bo pan Garca jest rabusem, bandytą — rzekł burgrabia.

— Jak możesz mówić tak bezwzględnie o naszym sąsiedzie?

— Dziwię się, że Wasza Miłość nie zna tego łotra. Cała okolica uciekła i kryje się przed nim. Nie tylko rabuje, ale zabija także niewinnych, uczciwych ludzi, jeśli się broną.

— Słyszałam o nim przykre wiadomości, zdawało mi się jednak, że jego nie-

przyjaciele przesadzają. Tobie wierzę, Wojsławie, bo mówisz zawsze prawdę. Trzeba zanieść skargę do grodu.

— Siła skarg poszła już do naszego grodu na pana Garcę, a nasz pan grodowy rusza wąsami i odgraża się i na tem koniec. Ślamazarem jest, niedołęgą, nie lubi się narażać podłość nikczemnych ludzi.

— Mamy przecież energicznego króla. Władysław Jagiełło umie karać łotrów.

— O, w to mi graj! Trzeba się udać do niego i prosić go o pomoc przeciw zuchwałym łajdakom.

Kiedy słów tych domawiał Wojsław, odezwało się zdaleka jakieś rzewne śpiewanie. Nikt nie słyszał w tych stronach nigdy takiego śpiewania. Szło ono jezłodem od strony śleslińskiej, zrazu ciche, ledwie dosłyszalne, potem bliższe, głośniejsze, aż przyplęnęło szeroką strugą, idąc po wodzie wprost na wyspę. Śpiewały dwa głosy męskie, jeden baryton, drugi tenor, przy wtórze skrzyplec i harfy.

Panna Klara i burgrabia Wojsław spojrzeli na siebie zdumieni.

— Śpiewają jak anieli w niebie — odezwał się Wojsław głosem ścisłym.

— Śpiewanie takie słyszałam zeszłego roku w Poznaniu, na dworcu wojewody — mówiła panna Klara. — Tak śpiewają rycerze polerowani na dworcach zagranicznych, albo trubadurowie i ich zonglerowie.

Zbliżały się powoli łodzie. Furkotały na nich, poruszone lekkim wiatrem, żagle niebieskie z jakimś znakiem herbowym pośrodku.

— Jacyś goście jadą do nas — rzekła panna Klara. — Niech nasi zbrojni chłopcy czekają na nich w przystani. Rycerskich gości należy powitać obyczajem rycerskim.

To rozkazawszy, udała się panna Klara do zamku, aby się przyodziać na przyjęcie nieznanych gości.

Straż zamku mikorskiego otworzyła przystań półkolem. Dwudziestu doro-

dnych, młodych pachołów, włożywszy na siebie w pośpiechu hełmy i blachy napierśne, czekało z wielką ciekawością na gości.

Na przodzie łodzi, prowadzącej inne, stał jakiś młody pan, dobrego wzrostu, zbudowany kształtnie, przystojny, lśniący w słońcu jedwabnemi, różowemi sukniemi. Małą czapczkę, ozdobioną sokolem piórem, miał na głowie, złoty łańcuch na szyi, biały pas rycerski na biodrach, złote ostrogi u trzewików; długi, biały płaszcz, splety na prawem ramieniu dużym szafi-rem, okrywał jego kształtną postać.

Obok niego stał na łodzi jakiś jego-mość, ubrany w długie czarne suknie żonglera (grajka).

— Jakiś wielki pan — zauważył burgrabia Wojsław. — Takich widać się tylko na pańskich dworach w Poznaniu albo Krakowie.

Na powitanie dostojnego gościa schyliły się mleczki pachołów, gdy wjechał do przystani.

On podziękował im uprzejmym ruchem ręki i odezwał się:

— Zaprowadźcie mnie do zamku!

Dziwowali się wielce pachółkowie mikorscy, że w świecie tak godnego pana szli mężowie, podobni raczej do zbójów aniżeli do towarzyszków rycerza. Strasznie patrzyło im z oczu. Spoglądali zpośród jak złe wilki.

Na ostatnim stopniu wschodów pałacu zamkowego czekała na gości panna Klara. W żółtej, jedwabnej sukni, w szkarłatowym płaszczu, obramowanym sobolami, była tak piękna, iż rycerz ogarnął ją zachwyconem spojrzeniem.

Zdjąwszy czapkę, skłonił się gość nisko, aż do kolan dziedziczki Mikorzyna.

Potem odezwał się:

— Jaroszek Garca przybywa do miłościwej sąsiadki, na przyjaźń naszych ojców pomny.

— Garca? — wyrwało się z ust panny Klary.

— Garca? — przebiegło w szeregu pachołków mikorskich.

Gdyby cudaczny raróg zerwał się z pod ich stóp, nie byłby się więcej dziwowali.

Ten przystojny, wykwiłtny, jedwabiami szeleszczący, złotym łańcuchem i drogiemi kamieniami błyszczący, a taki układny, polerowany rycerz, iż nie było takiego drugiego w całym powiecie — to on rabuś, bandyta z gródka leśnego? Być że to może?

Najwlecej zdziwił się burgrabia.

On, szlachcic, który jeździł w sprawach swojej pani do Poznania, i widział tam różnych dostojnych panów, wiedział, co znaczyły: białe pas, złote ostrogi i złoty łańcuch. Tylko rycerz pasowany i uwieńczony na turniejach miał prawo nosić takie oznaki.

Oglądając Garcę ze wszystkich stron, potrząsł Wojsław głową, mrucząc:

— Ktoby się tego spodziewał... Pasowany rycerz i bandyta?... No, no...

I panna Klara nie chciała wierzyć oczom. Takı wytworny rycerz miałby być osławionym rabusiem? — myślała — chyba to jakiś inny Garca.

— Wy jesteście pan Jaroszek Garca z gródka leśnego? — zapytała.

Garca, skłoniwszy głowę, odrzekł:

— Wasz pokorny sąsiad, miłościwa pani, Jaroszek, syn pana Kazimierza.

Na czole panny Klary powyżej nosa utworzyła się głęboka bródka.

— Gościnność jest obowiązkiem domu szlacheckiego, bezbożny jednak, zuchwały grzech rozwiązuje wszelkie obowiązki — mówiła głosem twardym — odwiedźmy swoje, panie Garca, zanieście do innych domów. Zamek młkowski będzie dla was aż do mojej śmierci zamkniętym.

— Miłościwa Pani — bąknął Garca.

— Nie miłościwą dla was jestem, panie Garca. Nosicie pas rycerza pasowanego,

a łamiecie przysługę, którą złożyliście Bogu i św. Jerzemu. Piersi wasze zdobł złoty łańcuch zasługi, a plamicie tarcz herbową zbrodniami pospolitego bandyty. Hańba wam, panie Garca!

Garca zbladł. Pochylił się ku przodowi, jakby się chciał rzucić na pannę Klarę, wyprostował się jednak po chwili.

— Wola wasza przyjąć gościa albo odpędzić go od swoich progów — rzekł z pozornym spokojem — panią u siebie jesteście.

Skłoniwszy się tak samo nisko jak na powitanie, oddalił się ze swoją świtą.

— Możeby tę hałastę pomacać mieczem i toporem? — szepnął Wojsław do panny Klary.

— Nie można — rzekła dziedziczka — bez zbroi w gościnę przyszła. — Rabusiami jak oni nie jesteśmy. Odprowadźcie ich do przystani, Wojsławie, by im nasi pachol-kowie nie uczynili jakiego wstrętu.

Gdy Garca usiadł w swojej łodzi, zdjął z ręki rękawiczkę, a cisnąwszy ją pod nogi Wojsława, krzyknął:

— Zanieście rękawicę pani Klarze i zapowiedzcie jej moje powtórne odwiedziny. Do rychłego widzenia!

Burgrabla spochmurniał, wiedział bowiem, co znaczy rzucona rękawica.

Był to znak wojny...

Wojna z rycerzem, którego rozkazów słucha stu sprawnych, ćwiczonych zbójów, zafrasowała Wojsława. Wprawdzie bronło zamku mikorskiego jego wyjątkowo korzystne położenie. Zanimby łodzie najeźdźcy dotarły do grodu, pograżyłyby je kusze w toniach jeziora. Ale przyjdzie zima, mróz zetnie cliche wody i połączy wyspę z lądem mostem tak silnym, iż nawet największe kusze przejdą po nim bezpiecznie. A wówczas nie wytrzyma garstka pachołków mikorskich napaści zbójów Garcy.

Z troską na pomarszczonem czole szedł burgrabla do pani. Nie znalazłszy jej w zamku, wleciał, gdzie jej szukać.

Na skraju wyspy od strony Ślesina, w klombie obok stała kamienna ławka. Tu śladywała zwykle panna Klara, gdy jej bystre oko nie było potrzebne w zamku.

Burgrabla podał jej rękawiczkę Garcy.

— Garca wypowiada nam wojnę? — rzekła — nie spodziewałam się tego. Wierzyłam, iż pasowany rycerz uszanuje spokój samotnej niewlasty.

— Gdyby Wasza Miłość chciała posłuchać rady pierwszego sługi, opuściłaby natychmiast wyspę i udała się w miejsce bezpieczniejsze, do Konina albo Kallsza. Ja tymczasem zebrałbym w naszej okolicy odważniejszych chłopców i zmierzyłbym się z tym wilkiem w skórze rycerskiej.

Na radę Wojsława odpowiedziała panna Klara:

— Przed zimą nie odważy się Garca uderzyć na wyspę, widział bowiem na

wleży i na murach wielkie kusze, a do lodów jeszcze daleko. Będziemy czuwali i nie pozwolimy się napaść.

Wy tymczasem, Wojsławie, pojedźcie jeszcze dziś do Konina i poproście pana grodowego, żeby mi przysłał pomoc swoich żelaznych żołnierzy. Z Konina udacie się do Poznania. Może dowlecie się tam u pana wojewody, gdzie przebywa obecnie pan Janusz z Góry. Gdyby go nie było w Poznaniu, pojedźcie jego śladami, a znalazłszy go, opowiedcie mu, co mi grozi. Gdy wróćcie z panem Januszem, rozprawimy się z tym leśnem opryszkiem.

— Niech się Wasza Miłość dobrze namyśli, zanim opuszczę wyspę — radził jej Wojsław — bo taki łotrzyk, jak ten nasz bezecny sąsiad, gotów podnieść rękę na moją panią.

— Tak mało ufacie mojemu ramieniu, Wojsławie? Samiście je wprawiali do oszczepa, miecza i kuszy. Wiecie, iż mi zuchwałstwo męskie nie jest straszne.

— Wiem, że ramię Waszej Miłości nie jest gorsze, słabsze od ramienia wojaka. Ale wiem także, że przemoc łamie ramię najsilniejsze. Słuchajcie mnie, pan! Jedźcie ze mną! Czuję, że was czeka jakieś nieszczęście.

— Uczyńcie, o co proszę, dam sobie sama radę, nieszczęścia się nie boję.

Znając stanowczość swojej pani, podał się jej woli. Ruszył w drogę.

Kiedy panna Klara została sama, splotła wieczorem ręce na łonie i posłała wzrok na jezloro.

Pogodny dzień wrześniowy świecił jasno, ale promienie słońca już nie grzały. Wielka cisza uspiła wyspę, drzewa i wody, ale od czasu do czasu podnosił się, niewiadomo skąd, chłodny wietrzyk, a wówczas marszczyły się wody, jak gdyby dreszcz po nich przeszedł, i drżały olchy i brzozy. Suche, żółte rdzą pokryte liście spadały bezustannie z drzew, zsuwając się wolno na ziemię. Gdy wiatr musnął gałęzie, sy-

pały się gradem, wirując w powletrzu jakby przerażone.

Smutek zbliżającego się zniszczenia zwarzył więdnące obłozę przyrody. Resztki żywych barw wiosny i lata wyzierały jeszcze z pod żółtych zmarszczek jesieni, ale świeżość ich gasła z każdym dniem, z każdą godziną.

Smutek wiał nad wyspą, nad jeziorem i rzucał także czarne cienie na serce panny Klary. Temu rok poznała w Poznaniu pana Janusza z Góry, wielkiej sławy rycerza, ozdobionego wawrzynem na polu grunwaldzkim, i serce jej dziewicze, dotąd obce miłości, zatrzepotało w jej piersi strwożone, jak nagle ujęta ptaszyna. Słodka to była trwoga, pełna rumieńców, przeczuć i pragnień.

Cicho szemrały fale jeziora, uderzając lekko o brzeg wyspy, cicho szemrały osowiałe olchy, a w sercu panny Klary płakała tęsknota za ukochanym.

Już rok nie wdziały go jej oczy kochające. Wolę jego krępował dotąd jakiś

ślub rycerski. Miał przybyć po nią i zawieźć ją do Góry, do gniazda swoich przodków, kiedy czas onego ślubu minie. Tak obiecał, tak przysiągł na swoją cześć rycerską, albowiem i jego serce zapłonęło do niej wielkim płomieniem miłości.

Ale serce ludzkie bywa zmienne, niestałe. Może zapomniał, może spotkał w drodze do Rzymu, do progu świętych Apostołów, dokąd go uczyniony ślub prowadził, inną dziewczęcę rycerską, urodziwszą od niej, lepiej wypolerowaną, znakomitszego rodu córkę i odwrócił myśli swoje od panny, wyrosłej wśród borów ślesińskich jak łania leśna.

Cicho szeptały fale jeziora, uderzające lekko o brzeg wyspy, cicho szumiały oszwiłe olchy, a łzy panny Klary spływały wolno po jej białych licach.

— Smutno mi, smutno — mówiła do siebie — jestem samotną...

III.

Jaroszek Garca wracał do domu zdumiony. Jak żebraka odpędziła go panna

Klara od progu swojego domu — jego, którego wleńczyły na turniejach niemieckie grafinie i francuskie margrabianki. Nazywała go nawet w obecności swoich sług rabusem, zbrodniarzem.

— Nie rozumiem, co się w głowie tej panny gotuje — rzekł do swego żonglera, którego sobie przywłóził z Niemiec.

— Jeżeli mi Wasza Miłość pozwoli odpowiedzieć prawdę, służę — odezwał się żongler.

— Mów prawdę, proszę...

— Inna jest w czasach dzisiejszych szlachta niemiecka, francuska i włoska, a inna polska.

— Skąd ty to wiesz?

— Wiem, bo znam rycerstwo środkowej, zachodniej, południowej Europy i przypatruję się także szlachcie polskiej. Szlachta niemiecka, francuska i włoska zmieniła się już w ostatnim stuleciu, a szlachta polska stoi dotąd na dawnych pojęciach i obyczajach.

— Czem różnią się Polacy od rycerstwa środkowego, zachodniego i południowego?

— Dawniej, aż do końca wieku trzynastego przysięgali rycerze Bogu i św. Jerzemu, iż położą w każdej chwili głowę za wiarę chrześcijańską i za pana lennego, iż bronić będą zawsze słabego przeciw mocnemu, oddawać mlecz bez wahania na usługi wdów, sierot i ubogich. Swojej przewagi orężnej używali do celów szlacheckich. Zamki panów niemieckich, francuskich i włoskich były czujnymi strażnikami poddanych im ziemi, były tarczą rolnika i rzemieślnika. A dziś? dziś zajmują się rycerze tylko swoimi sprawami, swoim mieniem. Gardzą robotnikami, kupcami, mieszczanami, lekceważą cudze mienie. Chciwcy z pomiędzy nich rabują karawany kupieckie, poniewierają słabych, ubogich. Szlachta polska nie posunęła się jeszcze tak daleko. Jest dotąd rycerstwem po dawnemu.

— Bo głupia! — zachnął się Garca — tylko pasowany rycerz ma prawo żądać, aby zastosowano względem niego kodeks rycerski, tylko wobec rycerza ma rycerz obowiązek zachować się po rycersku. Kupcy, mieszczanie, robotnicy, chłopci są tylko na to stworzeni, aby jemu służyli.

Polerując się dziesięć lat na dworach cudzoziemskich, stał się Garca cudzoziemcem. W jego młodą, wrażliwą duszę wsiąkły pojęcia, poglądy, zwyczaje i obyczaje obcych narodów, jak w śwleżą gąbkę. Nauczył się w Niemczech, Francji i Włoszech oprócz sztuki wojennej, różnych języków, poezji trubadurów, pogardy dla handlu, lekceważenia cudzej własności i ludzi ubogich.

Z takimi pojęciami przybywszy do kraju, znalazł się Garca na gruncle obcym. Co on nazywał prawem płęści, odzlanej w żelazną rekawicę, w Polsce nazywano występkiem, podłością, zbrodnią. Zaraz po pierwszej grabieży, dokonanej przez jego

bandę, przysłano mu z grodu konińskiego pozew. Nie stawł się na wezwanie władzy.

Jego butę, ufną w siłę młodości, bawły głosy oburzenia, otaczające go ze wszystkich stron.

Jego żongler ostrzegał go, mówiąc:

— Radziłbym Waszej Miłości zrzucić z siebie grzechy rycerzów innych narodów i wrócić napowrót do uczciwości swojej ojczyzny. Nie rozporządzacie przecież tak licznem wojskiem, abyście mogli stawić opór pachołkom możnych panów. Pierwszy lepszy wojewoda albo kasztelan zmlądźdy Was na miał. Rozumniej jest stosować się do pojęć i żądań swojego narodu, aniżeli naśladować obcych zdemoralizowanych rycerzów. Jesteście z krwi Polakiem i bądźcie znów dzieckiem swojej kołyski.

Garca rozgniewał się.

— Stul pysk, głupi gaduło! — krzyknął — nie twoja rzecz wścibiać nos w sprawy rycerza. Nie boję się wojewodów i kaszte-

lanów, powiększę szybko moją bandę, aby z nich drwić. Niech spróbują, niech przyjdą do moich lasów i zmierzają się ze mną. Każdy z moich zabójców starczy za trzech żołnierzy, a ja za dwudziestu. Zabiorę się wkrótce do tej dumnej sąsiadki, która ugodziła mnie obelgą w samo serce. Ona musi być moją żoną, bo mi się jej uroda i majątek podoba. Czy chce czy nie chce, złapię ją za kołnierzyk i zawlokę do mojego gródka. Kobiety bowiem dają się zwykle z początku, a gdy przywykną do tego lub owego mężczyzny, stają się dobrymi żonami. Zamiast ostrzegać mnie i napominać, weź w łapę lutnię i graj mi i śpiewaj jaką ładną kanconę. Od tego jesteś, to twoje rzemiosło.

Żongler wziął lirę w ręce, wzruszywszy ramionami i zaczął grać i śpiewać.

IV.

Wyspa panny Klary pławiła się w blaskach słonecznych, jak gdyby paż-

dzielnik nie stukał już nocami do drzwi i okien zamku, przypominając, że burzliwy listopad blisko.

Olchy i brzozy stały bez ruchu, senne, uśplone ciepłym zwodniczem. W ciemnozielonym gąszczu świerków igrały czerwone wiewiórki, fukając pociesznie na pstre, gadatliwe sroki, — rybki pluskały się wesoło w jeziorze, podpływając odważnie pod sam brzeg wyspy. Nielezione wojsko pracownych pajęczków przedło w drgającym od żaru słońca powietrzu, osnuwając drzewa, trawy siecią srebrnych nitek.

Jeszcze raz uśmiechnęła się przyroda radosnym uśmiechem bezchmurnego, błękitnego nieba, a uśmiechnęła się tak pogodnie, jak gdyby dopiero pierwszy powiew budzącej się wiosny przeszedł nad lasami, nad polami.

Był to uśmiech ostatni...

Bo oto nagle, pod wleczór, niewładomo skąd, niewładomo kiedy, zaczęły się

kłębić ciemne, ołowiane chmury i zasnuły w przeciągu pół godziny całe niebo. Zgasło płomienne oko słońca, sroki i wiewiórki pochowały się przerażone, olchy, brzozy, choiny, lodygi zwiędłych kwiatów, wszystkie trawki drżały, po wodach jeziora przeszedł dreszcz bolesnego przeczuła. Z lasów nadbrzeżnych wypadł wichur i wyjął jak zły ples, spuszczone z łańcucha, rzucił się z wściekłością na drzewa. Zachwiały się korony olch, rozkołysały się warkocze brzoź, a gniewne wichrzysko tarnosiło gałęzie, rwało liście pełne garściami, smagało jezioro, iż przerażone wody pieniły się, uderzając z łoskotem rozhukanych fal morskich o brzegi wyspy.

Zapadła wczesna noc. Jej ciemności ogarnęły wyspę. Jak okręt na oszalałym morzu, skrzypiał, dygotał zamek, oblany zewsząd łoskotem wichrów i szumem splecionych wód. W huczących ciemnościach skarżyło się szlochanie — płacz umierają-

cej na pewien czas przyrody, odartej z resztek swojej krasy.

— W imię Ojca i Syna...— modlili się pachołkowie, trzymający straż na brzegach wyspy.

Od owych nieproszonych odwiedzін Garcya czuwał zamek młkowski noc i dzień, by go zuchwały rabuś nie napadł znie-nacka. Załogę wzmocnili zbrojni ludzie grodcy z Konina, wielkie kusze zdjęto z murów i ustawiono je na brzegu wyspy, strażnicy zmieniali się co trzy godziny.

Sama pani zaciągała wartę, opatrywała kusze i pilnowała swoich pachołków.

Garcya zachowywał się tymczasem tak spokojnie, jak gdyby go nie było w okolicy. A on czatował na swoją ofiarę i czekał na chwilę możliwej napaści.

Nadszedł tak burzliwy dzień, że nikt na wyspie nie spodziewał się wroga.

W hełmie na głowie, w długich butach, w krótkiej, podpiętej wysoko spódnicy szła panna Klara brzegami wyspy w to-

warzystwie setnika, przysłanego jej z Konina.

— Głupcem nie jest pan Garca, aby się w taką wichurę odważył napaść naszą wyspę — mówił setnik. — Rozhukana woda pochłonełaby go razem z jego zgrają.

— Idzie jezłorem wielka fala — rzekła panna Klara. — Najśmielszy rybak dźlekuje dziś Panu Jezusowi, że ma dach bezpieczny nad głową.

— Możeby dobrze było pofolgować nieco naszym żołnierzom, bo straż nadbrzeżna czuwa w taką noc bez pożytku. Najbystrzejsze oko nie odróżni na trzy sążnie łodzi od wody, najczujniejsze ucho nie pochwyli szelestu wiosel.

Panna Klara spojrzała na jezioro.

Takie nieprzeniknięte ciemności otaczały ją dokoła, z takim ogłuszającym łoskotem i wściekłym rykiem rzucały się fale na wyspę, iż nie widziała własnej ręki i musiała krzyzczeć, by posłyszeć własny głos.

— W Istocie — rzekła — można żołnierzom nieco popożgować. Którzy czuwall nocą, niech się dziś wyśpią; którzy spali, niech się zabawiają do świtania w wieży przybramnej dzbanem i kośćmi. Młodu im nie żałować. Zarobili sobie na dobry kubek. Tylko dla wichrów jest dziś bezpiecznie na jeziorze, a Garca nie ma u ramion skrzydeł wichrów. Poczekaj on na mrozy, na most lodowy.

Bardzo zadowoleni byli strażnicy, gdy im setnik oznajmił rozkaz pani. Nie czekając na wieczerzę, położyli się na ławki, wysłane wilczemi skórami. Wyteżone czuwanie dwóch tygodni wyczerpało ich siły. Najgłodniejszy wolał spać niż jeść.

Duża, okrągła izba w wieży przybramnej brzęczała gwarem wesolej gawędy. Krążył dzban, padały kości..

Żołnierze bawili się bez troski. Mogli sobie pozwolić na przyjemny wypoczynek, skuteczniej bowiem od murów, kusz i panczerzy bronila ich burza. Gdzieby się tam

taki jedwabiami szeleszczący, drogiemi kamieniami błyszczący paniczyk wziął za bary z wichrami?... He, he, he!... Nie takiemu zaglądać wyzywająco w ślepie topielców, co w noc burzliwą wyją na jeziorze, żywych ludzi łakomi. Takiemu to napadać tchórzliwych kupców i bezbronych chłopów. Paniątko, zdechlaczek! Niechby się tylko ośmielił podnieść rękę na nich; ho, ho, pokazaliby mu, jak się hełmy łupie toporem...

Tak wygrażali się żołnierze, a wicher świszcział w kominie, jak gdyby drwił z ich przechwałek.

— Stulił gładką gębę, niby kundel obity, kiedy nasza pani na niego fuknęła — mówił stary Walenty, znany moczymorda, wychylając dziesiąty kubek.

— A ja wam powiadam, głupie pacholę, żeby wam tysiąc pochodni w ślepiach zaświecilo, gdyby was ten paniczyk pomacał mieczem albo toporem po żebrach — odezwał się setnik.

— Eh, eh, eh, co też to pan setnik gadają — przeczył Walenty. — Włotkie to jako trzcina, ręce ma białe niby pannenka.

— Czy nie wdziliście złotego łańcucha na szyi pana Garcy?

— A wdziliśma. To co?

— To to, że niedołędze i tchórzowi nie dają na turniejach rycerskich takich łańcuchów. Dobrze zasłużyć się musi mieczem i kopją, okrutne i giętkie ramię mieć musi, kogo na dworach obcych narodów zdobłą taką nagrodą rycerską. Nie tacy durnie jak wy stają w szrankach na polu udeptanem; najsprawniejsi rycerze sięgają po łańcuch złoty, a blerze go najwaleczniejszy z walecznych. Przeto zamiast czekać na nieobecnego wroga, chlaliłyście lepiej mniej miodu, bo gdyby się pan Garca nagle ukazał, pojechalibyście na skrzydłach burzy do owej bramy ostatniej, za którą czeka św. Płotr na duszyczki z ziemi uciekające. Żołnierzowi

nie wadzi kubek miodu, ale przystoił mu zawsze trzeźwość, bo niewładomo nigdy, kiedy jego godzina wybije.

Pachołkowie już podnieceni miodem nie zwracali uwagi na przestrogi setnika.

Kubki wypróżniały się szybko, kości padały żwawiej.

Pachołkowie bawili się, a panna Klara siedziała w komnacie syplalnej na niskim stołeczku, z głową pochyloną, z rękami splecionemi na kolanach. Posłanie nocne było gotowe, a ona nie pozwalała się służbie rozebrać. Doznawała szczególnego uczucia. Ogarnął ją przykry niepokój, który walczył z jej sennością. Było jej tak, jak gdyby ją ktoś niewidzialny obejmował za szyję i dusił, dech jej tłumiąc. Zdawało jej się także, że ktoś szepce do jej ucha: uciekaj! Mimowoli spojrzała na ławę, na której leżały: hełm, miecz i topór.

Straszna noc dusiła ją jak z mora. Wicher wiał, łomotał do okien, do murów.

Nie pierwszą taką burzę widziała dziedziczka mikorska. Wychowana na jeziorze, przywykła do wichrów jesiennych i fal huczących. Bywało nawet czasem, że ją burza chwyciła na wodach i nie przerażała jej nigdy.

Dlaczego zatrzymała ją dziś?

Bez żadnego powodu zerwała się panna Klara ze stołka i wybiegła ku zdziwieniu służby na dziedziniec.

Nasłuchiwała...

Oprócz wycia wichrów nie mogła pochwycić żadnego innego głosu ani dźwięku. Nawet śmiechy i krzyki bawiących się w wleży pacholków nie dochodziły do niej.

Wróciła do komnaty syplalnej i osunęła się znów na stołek.

— Posłanie czeka na Waszą Miłość — napominała ją pokojowa, Rognieda.

— Możesz odejść — odpowiedziała.

Sługa wzruszyła ramionami, nie widziała bowiem pani nigdy tak dziwnie, tak kapryśnie usposobionej.

I panna Klara nie poznawała siebie. Zawsze przytomna, odważna, nielekąjąca się niczego, czuła się dziś po raz pierwszy w życiu tak okropnie samotną i bezsilną jak chora sierota, porzucona w lesie.

Gdyby on tu był, on, Janusz z Góry, nie przeraziłyby jej nawet pioruny, padające u jej stóp. Ale on nie spleszył widocznie do niej. O, ten ślub nieszczęsny...

Mówią starzy ludzie, iż, gdy człowieka ogarnie nagle niczem niewytłumaczony niepokój, przodkowie ostrzegają ukochanego potomka przed grożącym mu niebezpieczeństwem — przypomniała sobie panna Klara.

Ale jakież niebezpieczeństwo mogłoby jej grozić? Dziecinne przywidzenie, majaki bezsennych nocy...

Tak pocieszywszy się, zaczęła się Klara sama rozbierać.

A oto nagle zaczerwieniły się okna, jakby oblane blaskiem zachodzącego słońca. Wyskoczyła z łóżka.

— Czyby błyskawice rozdarły ciemności? — myślała. — Być nie może, bo błyskawice nie świecą ogniem czerwonym.

— Ależ to ogień, pożar! — krzyknęła.

Ubrała się szybko w suknię, włożyła na głowę hełm, pochwyciła młecz, topór i wybiegła z sypialni.

— Czyby się pachołkowie poważnili, wypiwszy za wiele miodu? — mówiła do siebie.

Z dziedzińca szedł ku niej wyraźnie brzęk młeczów i jakiś głos potężny, przedzierający się przez łoskot burzy.

— Nie tykać pani! Wisleć będzie na szubienicy, kto obrazi jej ciało! Żywcem, bez skazy, ją wzięć! — rozkazywał ten obcy, nieznany głos.

Ktoś obcy był na wyspie, ale kto? Przyjaciel czy wróg?

Panna Klara czekała na stopniach swojego pałacu, czekając na obcego przybysza.

Ze stajen, obór, domków żołnierskich buchały płomienie, targane wichrem, a

w czerwonych blaskach łuny klębiła się gromada zbrojnych mężów. Migotały miecze, topory, pryskały tarcze, padali ludzie.

— Garca! To on! — zawołała panna Klara.

Poznała go po złotym łańcuchu na piersiach i po strusich piórach na srebrnym hełmie. Nikt w okolicy nie nosił takiej ozdoby.

Ten człowiek był okrutnie...

Hełmy jej pachołków kruszyły się pod jego uderzeniem z suchym traskiem starych garnków; duży miecz niemiecki obracał się w jego ręku z taką szybkością, iż widać było tylko błyszczące zygzaki. Gdzie ciął, tam jęknął człowiek. Jak przed uplorem cofali się przed nim ludzie mi-korscy.

Odważył się w taką straszną noc. Tchórzem nie był.

Panna Klara przeżegnała się z trwogą zabobonna. Ale nie było czasu na trwogę,

bo już ją Garca spostrzegł. Skłnął mieczem w jej stronę.

Na znak ten odcepilo się od gromady dziesięciu zbrojów i rzuciło się ku niej. Szli, nie zakrywając się tarczami, nie spodziewając się oporu. Przeto zdziwili się bardzo, gdy pierwszy z nich, który zbliżył się zanadto do schodów pałacu, runął na kamienne stopnie, krwią rzygając.

Straszliwie ciął topór panny Klary.

Z uszanowaniem spojrzeli na nią ludzie Garcy. Oparta plecami o mur, miała w prawej ręce miecz, w lewej topór, a w oczach błyskawice osaczonego lwa.

Bezradni stali przez pewien czas zabijacy z leśnego gródka. Gdyby rozkaz pana nie krępował ich ruchów, rzuciliby się gromadą na waleczną białogłowę. Zglnąłby jeden, dwóch, reszta zaś powaliby groźną przeciwniczkę.

Ale gardłem ma przypłacić ten, któryby obraził jej ciało, bo Garca karał nieposłusznych szubienicą.

Porozumiewszy się, otoczyli rabusie pannę Klarę półkolem, ścieśniając je ostrożnie. Odważniejsi próbowali podejść ją, ale lwica czujna, szybka, podchwytywała każde cięcie, odbijała je ze zręcznością doskonałego szermierza.

— Ta pani warta złotych ostróg — odezwał się jeden z bandytów. Podziwiał się jej miecz zamiast kądzieli.

Odsunawszy kratę swojego hełmu, przypatrywał się Garca z zajęciem tej nierównej walce. Dziesięciu starych doświadczonych zbójów nie mogło dać rady jednej białogłowie. Zaśmiał się z nich, gdy jeden z jego ludzi, oberwawszy po łbie, odskoczył jak oparzony.

— Dziedź wam kołysać, gałgany, — fuknął na swoich rabusów — zamiast pracować orężem.

Lekko, jakby się bawił, zatoczył Garca mieczem kilka kół. Nagle złączył się jego brzeszczot z brzeszczotem panny Klary. Zdało się, że go oplócił miękkimi zwojami

węza, i miecz niewieści wyleciał w powietrze.

Zdumiona lwica rzuciła się z toporem na zwycięzcę, w tej samej jednak chwili objęło ją dwoje ramion żelaznych, a objęły ją z taką siłą, iż zwisła, omdlała w męskim uścisku jak kwiat podcięty.

V.

Nazajutrz obudziła się Klara w jakimś nieznanym jej domu. Leżała na wygodnym łóżku, na miękkim, jedwabnym pościelaniu.

— Gdzie jestem? — rzekła, rozglądając się po komnacie okiem zdziwionem.

— Jesteśmy w gródku pana Garcy — odezwała się Rogniedo.

— I ty, niewinna Rogniedo, jesteś w niewoli? — pytała zdumiona.

— Pan Garca rozkazał mi towarzyszyć mojej pani — mówiła jej pokojowa. — I bez jego rozkazu nie byłabym opuściła mojej dobrodziejki.

— Trzeba się z tej niewoli wydobyć. Staraj się być w dobrej przyjaźni z pachol-

kami Garcy i wy dostać od nich dla mnie miecz, topór i pugnał, abyśmy mogli uciec z tej nory, z tego więzienia. Przy patrz się tej izble. Oświeca ją tylko jedno okrągłe okienko umieszczone wysoko, pod samym pułapem, zaopatrzone kratami, co znaczy, że siedzimy w więzieniu.

— Postaram się dla Waszej Miłości o broń, ale wątpię, czy ci bandyci wypuszczą ją z rąk — odpowiedziała Rognieda.

Ktoś stuknął lekko we drzwi.

Drzwi odemknęły się, i duża ręka męska, obrosła włosiem, wsunęła do więzienia srebrną tacę. Zapach winnej polewki, świeżego ciasta i pieczonych jabłek rozszedł się po komnacie.

— Jedz, Rogniedo — rzekła panna Klara — mnie ból nasycił.

Po godzinie odemknęła ta sama ręka kosmata drzwi po raz wtóry, i chrapliwy głos oświadczył:

— Pan nasz miłościwy prosi Waszą Miłość o posłuchanie.

Panna Klara wyskoczyła z łóżka i ubrała się szybko.

— Częgo ten łotr chce ode mnie? — mówiła gorączkowo. — Czy przychodzi nasycić mściwe oczy widokiem mojej niemocy, klęski?

Ze zmarszczką na czole, z pogardliwym wyrazem na ustach przyjęła Garcę.

On, skłoniwszy się przed nią nisko, jak wówczas, kiedy przybył do niej z hołdem sąsiedzkiem, odezwał się głosem sztucznie uprzejmym:

— Troskliwy gospodarz przychodzi zapytać się o zdrowie swojego gościa.

Gościa? W krwawiącą się ranę nieszczęścia wlewał szczególnego rodzaju troskliwy gospodarz żółć drwin nieszlachetnych.

Tak była panna Klara zdziwiona swobodnym tonem, jakim Garca przemawiał

i jego bezczelnością, iż nie umiała znaleźć odpowiedzi.

A on mówił dalej:

— Będę się starał zatrzeć w pamięci Waszej Miłości grozę wczorajszej nocy, jeśli racycie mi oddać swoje serce.

— Żądacie mojego serca — rzekła nareszcie panna Klara — a to serce moje zakrwawiliście nikczemnym napadem nie rycerza lecz bandyty, zakradającego się do cudzego domu i mienia. Zniszczyliście mój zamek, moją wyspę i wymordowaliście molch żołnierzy, a żądacie ode mnie mojego serca, które mogę oddać tylko prawemu, uczciwemu, szlachetnemu rycerzowi. Wy przede nie jesteście rycerzem prawym i szlachetnym. Gdyby senjor szlachty zagranicznej, który ozdobił was białym pasem, wiedział, w jaki sposób służycie Bogu i św. Jerzemu, zdarłby z waszych bieder znak zaszczytny, a was dałby w hańbiące ręce kata.

Mówiąc tak ostro, pochwyciła Klara

dzban cynowy, przypuszczała bowiem, że się Garca rzuci na nią za tę zlewagę.

Garca zatrząsł się wprawdzie i pobladł z gniewu, ale nie podniósł zuchwałej ręki na swoją niewolnicę. Podobała mu się w istocie jej uroda i odwaga. Postanowił uśmierzyć ją, zjednać dla siebie i dlatego zniósł cierpliwie jej ostrą mowę. Już ją cię okleżnam — myślał sobie — dziś albo jutro. Nie boję się grymasów kobiecych.

Codziennie odwiedzał pannę Klarę w jej więzieniu albo na przechadzkach i bawił ją muzyką swojego żonglera. Na nic mu się zdała ta uprzejmość. Śmiertelnie obrażona dziewczyna nie zwracała na niego uwagi — był jej obcym i obojętnym. Niech sobie szuka serca podobnego do swojego, a będzie mu lepiej jak ze mną — mówiła często do Rogniedy.

VI.

Drogą, prowadzącą z granicy śląskiej do Góry, szło pleszo dwóch mężów, odzła-

nych tak nędznie, iż nawet mijający ich żebracy spoglądali na nich z litością. Trudno było rozróżnić, czego było więcej w ich kaftanach — dzłur czy sukna. Mimo tego nędznego przyodziewku szli z głową podniesioną, równym krokiem żołnierskim.

Weszli do gęstego lasu. Rychły zmrok zimowy już zapadł, strasząc pleszych wędrowców zdradzieckimi ciemnościami. Szli w milczeniu, rozglądając się ostrożnie na prawo i lewo, czujni na każdy szelest. Mówiono im w drodze, że wilki gnieźdzą się w lasach górskich.

Gdy tak szli, skupieni w sobie, gotowi do obrony, odezwało się za ich plecami parskanie koni. Obejrzawszy się, spostrzegli w oddali jakieś blade, migotliwe płomyki.

— Ktoś jedzie z kagańcami — odezwał się jeden z nich, starszy. — Zaczekajmy, może nas zabierze.

Parskanie zbliżało się, światła rosły, coraz większe, czerwieniejsze...

— Jedzie kilkoro sań, widocznie jakiś bogaty pan — zauważył młodszy mężczyzna.

— Hej, kto tam stoi na drodze? — odezwał się z pierwszych sań głos rozkazujący.

— Głodni podróżni idą do Góry, do pana grabi Janusza — odpowiedział starszy oberwus.

— Do grabi Janusza? A kto wy jesteście? — pytał ten sam głos.

— Posłowie pani Klary z Mikorzyna.

Pytający wysadł z sanek i zbliżył się kagańcem do postów m'korskich.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, to spotykam w moich lasach burgrabiego Wojsława i jego pacholka.

— Pamięć nie myli Waszej Miłości, panie grabio.

— Ale jak wy obaj wyglądacie, dla Boga? — śmiał się pan Janusz z Góry,

młody, przystojny blondyn, odziany w szubę sobolową.

— Jak ludzie, którzy byliby zdolni sprzedać djabłu duszę za miskę ciepłej strawy.

— Czy was łotrzykowie ograblii?

— Na łotrzyków mamy mleczę i topory. Idziemy śladem Waszej Miłości, panie hrabio, już trzy miesiące. Byliśmy w Poznaniu, we Wrocławiu i Krakowie a teraz wlecemy się resztkami sił do Góry. Strawne, wzięte z Mikorzyna starczyło nam na miesiąc, bo myśleliśmy, że Waszą Miłość złapiemy w tym czasie. Gdy się nasz trzos wypróżnił, sprzedaliśmy konie i jedliśmy znów przez miesiąc. Zjadłszy szkapska, sprzedaliśmy buty, pasy, oponócze, hełmy, napiersniki i pchaliśmy się dalej, a że mróz schwycił nas za łeb, za nogi, trzeba się było przyodzierać w słomę, aby nie zmarznąć.

Pan Janusz z Góry, objawszy Wojsława za szyję, pocałował go, mówiąc:

— Za taką rycerską wierność dla swojej pani należą się wam złote ostrogi, które otrzymacie z rąk moich. Ale mówcie mi o onem poselstwie, albowiem ważne ono być musi, kiedy ponieśliście dla niego tyle trudów.

Z wielką uwagą i z frasunkiem w oczach słuchał opowiadania Wojsława o niebezpiecznem sąsiedztwie Garcy i o niepewnem położeniu panny Klary.

Gdy Wojsław skończył, rzekł:

— Trzy dni wypoczniecie obaj pod moim dachem, najecie się dobrze i ubierzcie się w moje suknie i futra, bo przecież w takich łachmanach nie możecie się ludziom pokazywać. Czwartego dnia po waszym wypoczynku ruszymy z całą zbrojną siłą moich ludzi i moich krewnych do Ślesina. Ponieważ opowiadacie mi, że ten Garca żywi w swoim gródku liczną zgraję bandytów, rabusiów, pójdziemy na Kalisz i poprosimy tam pana kasztelana, aby nas wzmocnił swoimi żołnierzami.

VII.

Codziennie, kładąc się do łóżka, spodziwiała się panna Klara, że ją przebudzi wrzawa walki, że Wojsław nadciąga z pomocą, ale mijały tygodnie, mleszące bezlitośnie, jak nie kończąca się nigdy wleczność. Długo mleszące, a co rano budziło ją tylko to samo zawsze pukanie pacholka, który przynosił śniadanie.

Okrutna, milcząca rozpacz nlemocy ogarniała duszę panny Klary. Różowy płomień nadziei wydobył się z nory zbójeckiej na wolność, na światło dzienne, ogrzewający ją w pierwszych tygodniach ciepłem otuchy, gasł, bladł, stygł. Wojsław albo nie znalazł pana z Góry, albo zginął gdzie w śwlecie, albo też grabia Janusz odmówił pomocy, zapomniał o niej.

Takie beznadziejne myśli wślizgiwały się kęsajacemi wężami w duszę zrozpaczonej, odejmując jej wiarę w możliwość ocalenia. Kogoż mogłaby obchodzić niedola nieszczęśliwej panny, jeśli nią wzgar-

dział rycerz, któremu oddała ona to, co człowiek posiada najlepszego — serce kochające? Jedyne tylko Bóg lituje się nad opuszczoną, zapomnianą przez wszystkich sierotą. On jeden rozwiąże jej pęta, jeśli taka jest Jego święta wola...

Nie spodziewając się już pomocy od ludzi, modliła się Klara całą zrozpaczoną duszą do Boga, ślubując Mu poświęcić młode życie, jeśli jej otworzy bramy warowni Garcy.

— Tobie tylko służyć będę, Panie, Tobie Jedynemu aż do ostatniego tchnienia! — przysięgła.

* * *

Garca sprzykrzył sobie clerpliwość. Postanowił zmusić pannę Klarę do małżeństwa i posłuszeństwa. Zabierał się już do tej ohydnej roboty, gdy wszedł do jego komnaty strażnik, pełniący służbę nad brzegiem jeziora.

— Z czem przychodzisz? — zapytał go.

— Od strony Ślesina ciągnie jakieś wojsko, Wasza Miłość — oznajmił strażnik. — Będzie tego z pięćset, a może nawet więcej koni, i wielkie kusze spostrzegłem.

— Wojsko, kusze? — mówił Garca półgłosem, zdziwiony. — Czyby sobie grodowy koniński nareszcie przypomniał, że jego obowiązkiem upomnieć się o krzywdę dziedziczki mikorskiej? Niech przyjdzie! Potańczymy z tym gnuśnym niedźwiedziem po naszymu.

— Widzi mi się, Wasza Miłość — mówił strażnik — że to jacyś obcy rycerze. Wszyscy w pańskich zbrojach, w szkarłatnych płaszczach, w hełmach z piórami, a konie pod nimi jak smoki.

— A znaku ich nie spostrzegłeś?

— Przodem idzie czerwona chorągiew z czemś białem pośrodku, ale nie widać zdaleka, coby to było takiego, zwierzę, podkowa albo co innego.

— Skocz-no ty i zobacz, ktoby to mógł być taki — rzekł Garca do strażnika. — Może goście do nas.

Gdy się strażnik oddalił, kazał się Garca ubrać w zbroję bojową. Miecz i topór oczyścił i wyostrzył sam, obszedł dookoła mury, opatrzył kusze, rozstawił swoich zbójów.

Godzina minęła, zanim strażnik wrócił.

— Widziałeś owe wojsko? — zapytał Garca skwapliwie.

— Nie goście jadą do nas, Miłościwy Panie, — odpowiedział strażnik. — Idą w rynsztunku i ordynku bojowym, prowadzą ze sobą kusze i tabor obozowy.

— Czyś poznał ich zawołanie?

— Srebrny znak Habdanków błyszczący na polu czerwonym.

— Habdanków? Nie pamiętam, bym obrazili kiedykolwiek którego z tych pysznych orlików wielkopolskich. Czego oni chcą ode mnie?

— Przodem idzie obok jednego pana
Wojśław, burgrabia młkowski.

— To tak? Rozumiem teraz, o co idzie.
Trzymajcie się ostro, bo was licho weźmie.

Nagle rozbrzmiał bór ponurym, prze-
ciąglým głosem rogów bojowych. Na po-
lanę, otaczającą wyspę zbójcką, zaczęła
się wysuwać barwna wstęga zbrojnego
rycerstwa. Powlewały białe, czarne, czer-
wone i zielone plóra na hełmach błysz-
czących, lśniły srebrne i złoczone blachy
napierśników, mieniły się szkarłatne płasz-
cze, zasłane znakiem Habdanków.

Na polanie ukazał się rycerz, cały
w złoconej zbroi. Garca nie wierzył oczom
swoim. Byłżeby to on, Janusz z Góry?
Spotykał on tego mistrza dużej ręki nie-
jednokrotnie na turniejach w Niemczech,
w Czechach i na Węgrzech i był zawsze
świadkiem jego triumfów.

Pamięć go nie myliła. Jan z Góry
stał przed wyspą zbójcką z stryjami swo-
jego domu. Przyszli z nim Habdankowie

z Konar, z Chojna, z Pudliskowa i Przyborowa. Całe opole Habdanków wsiadło na koń na wezwanie senjora rodu.

Gdy Garca myślał nad tem, jaka mogłaby być przyczyna niespodziewanego najazdu, odłączył się od gromady jeden z rycerzów i zbliżył się bez kopji, tarczy i miecza do gródka.

Znając obyczaje rycerskie, wleździł Garca, że to poseł.

— Grabla Janusz z Góry, rycerz panny Klary Mikorskiej, wyzywa pana Jaroszka Garcę na rękę! — wołał poseł z dołu gródka.

Janusz z Góry był rycerzem Klary? Teraz dopiero zrozumiał Garca jej wytrwały opór i bezskuteczność swolch zabiegów.

— Jest-li pan Garca godzien białego pasa — mówił jeszcze poseł — to przyjmie zaszczyt orężnej rozprawy z grablą z Góry.

Rzekłysz to, czekał poseł na odpowiedź.

Tylko krótką chwilę namyślał się Garca. Był zanadto przepojonym pojęciami rycerstwa zachodniego, aby się chciał narazić na zarzut tchórza.

Z brzękiem padła jego stalowa rękawica pod stopy posła.

— Powiedzcie panu grabi — wołał z murów swojego gródka — iż dziękuję mu za zaszczyt rycerskiego wyzwania. Stanę niezwłocznie na polu.

W kwadrans potem opadł most zwodzony, i Garca wyjeżdżał z bramy na koniu bojowym w towarzystwie dwóch giermków szlacheckiego stanu.

Zaspy śniegowe nie pozwalały przeciwnikom uderzyć na siebie kopjami. Walczyli pieszko mieczem i toporem.

Miecze ich błyskały z taką szybkością, iż nie można ich było zdaleka odróżnić.

Z powstrzymanym oddechem, w ponurem milczeniu wpatrywali się zbóje

Garcy w dwie migotliwe postacie, to odskakujące od siebie, to tak blisko siebie, iż zdawały się zlewać z sobą. Nagle przerzuciła jedna z nich topór z lewej ręki do prawej, słychać było łoskot stali uderzającej o stal, brzęk jakby tłuczonych garnków i — krzyk przerażenia rozległ się z murów gródka.

Garca leżał na śniegu z głową roztrzaskaną.

W tej samej chwili ukazała się na murach postać niewleścia. Wyciągnawszy ręce w stronę zwycięzcy, wołała głosem płaczącego serca:

— Janusz... mój Janusz... już za późno...

*

*

*

Janusz z Góry podszedł do panny Klary.

— Przyszedłem po ciebie, bo dopiero teraz jestem wolny od ślubów — mówił. — Zabłem tego łotra, aby ciebie wydrzeć z jego podłych szponów i zabrać ciebie do mojego czyli naszego domu.

— Za późno, Januszu, za późno — odpowiedziała mu Klara ze łzami w oczach. — Czekaając na ciebie daremnie trzy miesiące, straciłam nadzieję połączenia się z tobą. Majaczyło mi się, że zapomniałeś o swojej narzeczonej, i ślubowałam Panu Bogu, iż tylko Jemu będę służyła. Śluby ofiarowane Bogu rozwiązuje tylko śmierć. Wielką jest miłość moja dla ciebie, Januszu, większą jednak bojaźń Bożą i trwoga przed wiecznem potępieniem. Tak cnotliwy rycerz jak ty nie odmówi mi od spełnienia uczynionego ślubu.

*

*

*

Na ruinach zamku mikorskiego, na wyspie, stanęła chatka pustelnicza.

Przez długi szereg lat szły do chatki łodzie, wiozące ubogich i nieszczęśliwych, szukających pomocy albo słowa pociechy.

Na wszystkie bóle serca i wyrzuty sumienia kładła świątobliwa pustelnica

miękką, dobrą rękę, a wszelakiej nędzy ocierała łzy hojną zapomogą.

Tą pustelnicą była Klara Mikorska.

* * *

Blisko pięćset lat minęło od czasu, kiedy Janusz z Góry zburzył gródek Garcy, a lud nie zapomniał dotąd rabusiowi swojej krzywdy. Opowiada on jeszcze dziś smutną powieść dziedziczki mikorskiej i nazywa miejsce, na którym stała warownia Garcy, »wyspą zbójecką«.

KONIEC.

I-20.871

<http://rcin.org.pl>

223037/v/68

v. 95-

1
20869

20.872